

PRAŁAT I. LASOCKI.

Zacnym Nauczycielkom i Nauczycielom, oraz  
Wychowankom b. Szkoły udziałowej żeńskiej,  
Płockiej, dziś Gimnazjum Państwowego im.  
hetm. Reginy Żółkiewskiej — na dzień Jubile-  
uszu XXV lat tej Uczelni.

---

„Scientia inflat-Charitas aedificat

Wiedza nadyma-Miłość buduje” ...

(Stare ale jare przepowiedzonko).

---

**„Scientia inflat-Charitas aedificat  
Wiedza nadyma—Miłość buduje“...**

**(Stare ale jare przepowiedzionko),**

Obchodzimy obecnie 3-go lipca 1932 roku DWUDZIESTOPIĘCIOLECIE istnienia w Płocku naszej kochanej Szkoły żeńskiej, średniej, udziałowej, założonej w 1907 roku.

W roku 1920 podarowaliśmy ją Państwu Polskiemu i nosi nazwę: Gimnazjum imienia hetmanowej Reginy Żółkiewskiej, przezacnej.

Przychodzą do mnie, jako pono do dość zasłużonego w sprawie tej Uczelni, dwie delegatki, a były jej uczennice, jedna już prezesowa poważna, druga vice prezydentowa, i proszą, bym w dniu Jubileuszu tej Szkoły odprawił aż w katedrze Mszę Św. i stosownie przemówił.

Mszę Świętą za tę Uczelnię, jej Kierowników, oraz Wychowanki odprawię...

Żebym ja miał tyle tysięcy, ile Mszy Świętych na ten cel mi tak drogi, bez próśb odprawiłem przez ubiegłe ćwierćwiecze, to rzuciłbym się dziś zaraz na

tworzenie drugiej „Stanisławówki” w Płocku, tak tu koniecznej dla dziewcząt biednych, skoro pierwszą oddałem X. X. Salezjanom ku wychowywaniu płockich chłopców biednych, bardziej tu niż dziewczęta pono opuszczonych.

A do przemówień publicznych jużem teraz i za słaby i — za pokorny.

Mimo zachęt, że dobrze niegdyś mawiałem — czyniłem to zawsze z **KONIECZNOŚCI**, a nie z przeświadczenia o swych zaletach krasomówczych. Stoi mi bowiem wciąż żywo w pamięci oto opowiadka taka — przezemnie ostrzegawczo zawsze wyzyskiwana.

— „A tom ślicznie powiedział“! — mówi mi niegdyś w pokorze młodzieńczej świeżo wówczas upieczony akademik petersburski — zacny kochany ś. p. X. Stanisław Ordon, bratanek Redutowicza Orдона.

Gdym wychodził dumny z przemówienia swego — chłopuś prosty trzyma się biedulek za płot i gwałtownie jedzie — nie do Gdyni..

— Wstydz się, bracie, w takim stanie chyba nietrzeźwym przychodzić na moje tak piękne gadanie...

— A właśnie tylko ono — nudne a długie gadanie tak mnie — rozczuliło“..

Polecam żywo tę opowiadkę charakterystyczną pamięci łaskawej licznych złotoustych i ustozłotych mówców i mówczyń naszych...

Napadł mnie następnie serdecznie pan Redaktor Dziennika Płockiego (oby mu zdrowiej było pod redakcją nową!...) i prosił, bym jako kompetentny coś napisał do sobotniego specjalnego numeru, poświęconego Jubileuszowi tej zasłużonej Szkoły naszej żeńskiej — „boć przecie wypada — wypada“...

By tedy „upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu“, mianowicie wypełnić choć w części rozkaz tyle już poważnych delegatek, Wychowanek Uczelni naszej i rozkaz Redaktora kochanego — „skoro tak wypada“ — oto choć tu wypada ta moja pogawędka — prosta — nieuczona — małowymowna...

Czyż mam tu pisać o dwudziestopięcioletnich losach tej dziś już jubileuszującej Uczelni?

Chybabym jeszcze wspomniał o wielkich, długoletnich zasługach już ś. p. Haliny Dobrowolskiej, nauczycielki i tego kochanego Jana, woźnego, chodującego tak mile w tej uczelni i czystość i kwiaty... Już jest o wszystkim innem pięknie streszczona świeżo z licznymi lustracjami broszura, pod tytułem: „Państwowe Gimnazjum żeńskie imienia hetmanowej Reginy Żółkiewskiej w Płocku 1920—1932“, oraz druga nieco starsza książeczka: „Luźna wiązanka wspomnień z działań własnych i ludzi duchowo mi blizkich w dziedzinie szkolnictwa polskiego, głównie płockiego“ — przezemnie napisana — a obiedwie do nabycia w kancelarji Szkoły pomienionej...

Kupuj — czytaj — naśladowaj...

W święto jubileuszowe Szkoły, naszej skarbnicy wiedzy — skreślę tu parę uwag luźnych — praktycznych — z życia mego zaczerpniętych — o pani wiedzy dobrodziejce.

„Scientia inflat“ — „wiedza nadyma“...

— Oo! — źle... To niby tak nadyma, jak w bańce mydlanej — tę odrobinę brudnych mydlin — w środku pustych — a okraszonych jakże nietrwałym, zawodnym błyskotkiem tęczowym??

Podobnie..

Zapewne nauka jest konieczną...

Nie będę tego lufcika wybitego otwierać...

„Multa tulit sudavitque puer“..

Ale, ale — „najmędrszym“ na świecie jest elew, czy elewka szkoły elementarnej — po otrzymaniu świadectwa z ukończenia jej aż 7-miu oddziałów... Nieco mniej „mądrą“ jest matura uczelni średniej... Mniej „mądrym“ — dyplom uniwersytecki...

Tu przerwę, jak Wojski Mickiewiczowski — dalszą symfonię o tej mądrości i kategorycznie najprzód zasadniczo powtórzę to, com pisał niegdyś w swym rymarskim „Snopku“ na stronicy 96:

Orka trudna zmusna.

Dla tych i grosz i laur nie hojnie tu leci; orkę mają przeklętą: „uczą cudze dzieci“. Ten ich arcycy społeczne te trudy docenia — kto pomni, że

w tem leży przyszłość pokolenia. Przed prawych pedagogów tu licznym zespołem myśl głębsza musi wołać: Czołem! czołem! czołem!...

Potem — idę dalej za tą bańkowo nadętą — wiedzą...

„Najmędrszym“ jest nauczyciel ludowy... „Mniej mądrym“ — profesor gimnazjalny... Jeszcze „mniej mądrym“ — mistrz uniwersytecki — a już zupełnie chyba głupim („krugom durak“ — jak mawiali moskiewscy oświeciciele — nasz starych) — to ten Sokrates prawiękowy, boć sam się przyznał, (a jak twierdzi starych Pandektów Reguła: „Propria confesio rei — est optima probatio“), że: „To wiem, iż nic niewiem“. Niepotrzebnie tylko z pychy pogańskiej dodał: „A in ni i tego nie wiedzą“...

To fakt niezaprzeczony, że o ile kto zieleńszy, chciałem rzec życiem młodszy — o tyle więcej zrozumiałszy o wielkiej wiedzy i powadze swojej... Nie wierzycie — to posłuchajcie.

Po ukończeniu seminarjum duchownego płockiego i założeniu „pelerynki“ na suknię (co dawniej dodawało nam wielkiej powagi i wiedzy) — jechałem do Rzymu na studia uniwersyteckie. W Krakowie znalazłem się w gronie takich znanych: Sokołowskiego, Estrajhera, Ojca Załęskiego, jezuita. Mówili o sztuce, o archeologii, o których wówczas miałem zielonkawę pojęcie. By jednak okazać im swą wiedzę seminaryjską już, już chciałem się wyrwać kompetentnie:

— O! i my mamy w Płocku w seminarjum wielkiego archeologa A. B... Nawet urny posyłane przezeń do Waszej tu Akademji Umiejętności — ja (przypatrzcie się: nie byle co!) Wam przerysowywam... Na szczęście nie zdążyłem tego wygłosić...

— „Ale, mój księżyku, powiedz tam waszemu B. by nam tu do Akademji już nie przysyłał rozbitych garnków płockich, bo mamy ich tu za wiele u żydów na Kaźmierzu“ — rzekł mi konfidencyjnie profesor Sokołowski...

Wówczas — zdębniałem, alem tej doceny wiedzy naszej — nigdy nie zapomniał, choć już wkrótce potem silono się mianować nasz Gród Konradowy — „Atenami płockimi“...

Co prawda innym razem już udało się mej powadze i kulturalnej wiedzy wyskoczyć jak Filip Kopczyński...

Nieciekawiście jak to było? — to wam metodą „Pana Jowialskiego“ Fredry zaraz opowiem:

Jest to nie bardzo do rzeczy, lecz i niewiele od rzeczy...

Przyjeżdża niegdyś do Rzymu kolega mój, prefekt szkoły żeńskiej płockiej p. Arnoldówny, późniejszej sławnej warszawskiej Werekkiej, ś. p. ks. Stanisław Jaźwiński (mówiąc nawiasem, modliłem się wczoraj na cmentarzu płockim na jego grobie i przyszła mi myśl bratnia: czyśmy księża nie powinni kazać tu poczyć i poodnawiać pomników choć takich kochanych kapłanów: Jaźwińskiego, Borowskiego, Niesiobeckiego?!)

Zamówiłem wówczas w Rzymie na godzinę siódmą rano dla ks. Jaźwińskiego ołtarz do odprawienia Mszy św. w celce św. Stanisława Kostki, naszego współdiecezjanina, przy kościele św. Andrzeja na Kwirynale.

Przychodzimy nazajutrz przed siódmą — ja już wtedy stary akademik, pono nawet doktor dwóch fakultetów i druga wiedzy powaga, prefekt żeński Jaźwiński — obaj chłopy i na oko wielachne — a tu akieś stare chucherko w wytartej, spłowiałej, zielonkawej sukieneczynie już zaczyna się samo ubierać w szaty mszalne — właśnie na ołtarzu w celce św. Stanisława Kostki dla nas przygotowane... Wnet się nabzdyczyłem, jako dwa jędry:

— Scusi padre! to zamówiona nasza (a co to my?! tu do Mszy św. godzina — va vial wędruj!..

— Ach przepraszam, przepraszam — nie wiedziałem... i zaczął się rozbierać ze szat mszalnych...

— Ubieraj się, Stachu, bo znów jaka pokrancja zajmie nam ołtarz!...

Począł się ubierać...

Naraz — naraz wchodzą liczni ojcowie jezuici, tu gospodarze i — padają na kolana kołem przed tą wytartą sukieneczną zielonkową...

— Kto to? pytam zdumiony któregoś z ojców?

— Jakto nieznacie Eminencji naszego, sławnego na świat cały katolicki Ojca Franzelina?! (który choćby tylko tyle dzieł z prawdziwą wiedzą napisał,

żeby ich nie przeczytało, a nawet bodaj razem nie uniosło tych dwoje oślindrów wielkich—mój dopisek).

Zerwałem ze Stacha albę mszalną.

— Wybacz Eminencjo moje gapiostwo aroganckie ślepe i na dowód przebaczenia pozwól mi Cię do Mszy św. ubrać zaraz przy ołtarzu świętego naszego patrona Stanisława...

— Fa niente! fa niente! — Grazia, grazia... O! nie zapomnę nigdy tej nauczki. A i nieraz potem—mojej wiedzy i wielkości Boziuchna przez ludzi prztyczka w nos dawała...

Jestem, młodziak, na obiedzie u jezuitów w Krakowie na Wesołej...

To też dopiero mnichy posadziły mnie przy jakiejś nędzotce, — napewno braciszku od zmywania garnków w kuchni.

Uczyła mnie Matusz poczciwa, że przy obiedzie trzeba bawić sąsiada, nietylko tem, że „piękna dziś pogoda“, a sąsiadkę choćby pytać uprzejmie; „Czy panna Filomena lubi ser...?“

Otóż i pytam sąsiada braciszka pokrancję, nie czy lubi ser, lecz czy może ślabizował waszego sławnego ks. Marjana Morawskiego „Wieczory nad Lemanem“ — „Historję filozofji“, etc i czy nie zna przypadkiem tego niezwykłego pisarza, a waszego Ojca...

— Znam go mało — niczego wartościowego nie napisał, ..

Ledwom go nie przysztuknął..

— A któż u paralusza waść jesteś, że się ośmielasz głęboką wiedzę takiego ks. Marjana Morawskiego krytykować? —

— Ja tylko jestem—Marjan Morawski — inaczej jym się nie ośmielił..

Autentyczne.

Wyjdźmy teraz tu na chwilę — choć raz na 25 lat w ten dzień Jubileuszowy Szkolny — z tego maneżu — kręćka pojęć utartych „za panią matką pacierz“ i powiedzmy sobie szczerzej — o tej pani Wiedzy dobrodziejce, pogryźmy się nawet troszeczkę, byleby z serca.

„U nas każdy jest wszczestronny — bez partesu plecie od owsa do teologii o wszystkim na świecie“ — pisał niegdyś — może trochę i o mnie — stary pan Lam.

„Oczko nasze w stosunku do wiedzy prawdziwej (ad veritatem) — jest jako oczulko nietoperza do blasku słońca“ twierdził klasyk Italski. Sławimy się tą wiedzą w teorji i w praktyce tak liczną, jak mleko w lecie i tak, jak ono mleko — często fałszowaną, wodziankowatą — aż przykro słuhać,

I takie mamy często tej wiedzy księgi.

Duże papierem — a cieniutkie treścią. I to jest tak zwana „Scientia chiara“... A cóż my wiemy

o tem, co nam mówi faktami niezaprzeczonymi cała „Scientia occulta?”...

Idź zapytać się o nią choćby naszej Warszawskiej jasnowiedzki Myrthy Noel, a faktycznie poczciwej, pobożnej p. Romany Steckiej.

Dwa lata temu w Krynickim swym odczycie zacytowała ona dosłownie, ze wskazaniem nazwiska autora, com jej niegdyś napisał dłużej: „Scienza chiara e stienza occulta“.

— To ks. prałat zna p. Myrthę Noel? Możeby mnie z nią zapoznał — prosi po tym odczycie ś. p. doktor Otto, znany ordynator szpitala św. Ducha w Warszawie. Idziemy.

— Niechże pani co — o mnie powie.

— Nie wiem, kto pan jest, ale widzę, że nie rozumiesz się ze swoją żoną — kochasz nadzwyczaj swą córkę jedyną i matkę staruszkę. Lecz przedewszystkiem umiłowałaś swe studia i badania wieloletnie (oby były skuteczne) nad „promieniami błękitnymi“ na ukojenie nerwów ludzkich — z czem dotąd nikomu, nigdy się nie zwierzałaś...

— Księżę Prałacie — chodźmy -- chodźmy—

Skąd ona może to wiedzieć wszystko, a szczególnie o tym „błękitnie“? — Nadzwyczajne...

Wiedza nasza, ona sławetna wiedza — najczęściej „przepisana“ — ze swymi pewnikami — po ćwierć wieku, jak twierdzi Strinberg, okazuje się ułudą — w dziedzinie nawet doświadczalnej. A cóż

my faktycznie wiemy o całej metafizyce. Otl wierzy się „in verba magistri“...

„Duże łyki wiedzy przywodzą do Pana Boga — małe od niego odwodzą“ — mądra wieków praktyka twierdzi.

Bezwyznaniowcami są najczęściej ludzie jeszcze — zielonkowaci. U nas takich nie wielu — najczęściej pod względem konfesyjnym jest t. zw. „ciepłych klusek“ — co to: „ni pies, ni wydra — coś na kształt świdra“... A nasza, nasza wiedza pedagogiczna, z którą zgórą pół wieku staram się nieco za zaznaczyć — to prócz obiektywnie zdrowych, więc niezmiennych wskazówek starej naszej Komisji Edukacyjnej — są to przeważnie poglądy i próby jednostek, poparte własnym tupetem w ich rozszerzaniu — a w praktyce wkrótce bankrutujące na — niedokrwistość życiową.

Ot i teraz takie Szanowne Ministerstwo Oświaty, a więc chyba Skarbnica Wiedzy oświecającej, czyni — doświadczenia, szkoda, że tyle kosztowne — z nowym systemem szkolnictwa, zapewne najskuteczniej zastrzykującym tę rzekomą wiedzę.

Co się dzieje w licznych innych formalistycznych programach i bezapelacyjnych wskazaniach Ministerstwa Oświecającego — to samo względem ucni, czy uczennic swoich... często wyczynia lada nauczyciel, czy nauczycielka, a wytwarza cichutko z własnego „widzimi się“ — programik swych przemęczonych nerwów... —

Moje dobre Wychowanki Szkoły dziś Jubileuszującej naszej—powno pamiętacie, ile Wam we ćwierćwieczu tu nawpajano, każdy czy każda z osobna—ze przedmiot przez nich wykładany jest najważniejszym, a życie znowu Wam wykazało, jak wiele było w tem nieprodukcyjnego balastu..

Doceniacie dziś dobrze, że nieraz „dwója“ często wylęła z nerwów — wprost zatrupiała i Was i bliskich Waszych.

Wy wypośrodkowywacie dziś trafnie, jak też często rodzice czy opiekunowie, mający nieraz niezawielkie pojęcie o zasadach pedagogiki zdrowej, wprost wściekają się niesłusznie na szkołę, za dwóje ich dzieci, gagatków — „wszystko umięjących“.

— „Ba! Któż lepiej dzieci zna nasze i kto się za nie upomni!“... Ale znowu „każda liszka swój ogoneczek chwali“..

Jak to jednak paraliżuje i obrzydza pracę trudną szkolną — pisałem o tem w swej „Luźnej wiązance.“

Ja to mam miłe wspomnienia o swoich licznych profesorach — bo miałem krzytę zdrowej doceny win własnych uczniowskich, oraz nietaktów moich opiekunów..

Przykrem mi też było surowe urąganie w książce wspomnień o gimnazjum plockim (tytułu ściśle niepamiętam), do którego i ja chodziłem — na niektórych nauczycieli, naprzykład Wacława Waligórskiego, człeka chorego, zaplutego, nerwowca, nauczyciela łaciny, a przedtem historii.. Podobało mi się zdanie: „że też nikt się nie znalazł — by go usunąć

ze szkoły“ — ja dodałbym: do sanatorium.., Modłę się w Plockim cmentarzu na jego grobie..

Ale też mi się niepodobał w Myśli Niepodległej, skoro się już nawet stała myślą podległą rozmowi i sercu — w № 398 z dnia 20, XI 1917 roku nieprzeciętnie zdolnego ś. p. Niemojewskiego Andrzeja „List nauczycielki do swej Babci“. Wnusia nauczycielka złamana prosi Babciuni o radę, co ma robić, gdy „z przerażeniem czyta we wilczych oczętach dziatwy piosnkę:

Uczyła mnie matka pieścić i całować.

A ojciec mnie uczył—kraść i dobrze schować..

Odpowiedziałem p. Andrzejowi, osobiście mi przychylnemu, w liście otwartym pod tytułem „Odpowiedź Babci“, drukowanym w 1918 r; w „Kurjerze Plockim“, a potem w oddzielnej broszurce:

„Choć przepłaczysz wszystkie łzy — Ale nie zwątp — w złote sny“, utkana przez miłość Pana Boga „ktoby przyjął jednego z tych maluczkich — mnie przyjmuje“ — przez miłość Ojczyzny, której dziatwa przyszłością, wreszcie przez miłość samej dziatwy, bo któżby nie kochał tych pączków, kwiatusków, — choć dla przyszłego ich owocu cennego..

Powrócę do tego w końcu pogadanki luźnej niniejszej. Dziś — po piętnastu latach od onej „wilczej piosenki“ — odesłałbym i p. Andrzeja i „zrozpaczoną wnusię“ do Akademików i Akademiczek Warszawskich, przystępujących tysięcznymi tłumami do rekolekcji, spowiedzi i Komunji wielkanocnych..



Wiedza — wiedza — wiedza — dużo młocki,  
a często mało wymłotu.

— Jakże mogę postawić Iksińskiej trójkę, skoro się tak zerznęła w cwiczeniu — na egzaminie — w tak ważnym, jak mój przedmiocie?.. Chyba posądzono by mnie o łapówkę..

Całyś ty, taki docenie i sercu memu bliski, Braciszku, lub Siostruniu pedagogiczna — i cały twój przedmiot tyle ważny — często mniej wart, niż złamana przyszłość dzieciaka — „zdwojzonego“... Dla czego ??..

Na jubileuszu dyrektora gimnazjum Jagiełły w Płocku, zasłużonego, bo mądrego, a dobrego p. Dąbrowskiego proszoną mnie, bym zaimprovizował mówkę.

— Moi drodzy liczni wychowawcy tutejszego gimnazjum — tu zwróciłem się do dużego tam ich tłumu — powiedźcie mi szczerze, czy nie często „dwójkarz gimnazjalny“ z wyblaganą trójczyną — potem w życiu praktycznym owocniej szczerzej pracuje, niż piątkarz z plusami?..

— Brawol Nieraz — stokroć owocniej..

— Proszę o ciszę... Otóż jubilate kochany, wnoszę tu życzenia Ci serdeczne w imieniu tych „dwójkarzy“, którym w roztroptym Twym sercu wyblagałem trójczynę — a dziś na Bożą chwałę — pożytek ojczysty i Twoją zasługę — owocnie pracują..

I Wy, Wychowanki naszej uczeł Jubileuszującej — powiecie mi też w tem: Brawol

Jeszcze w roku 1917 podałem w „Kurjerze Płockim“ a potem w oddzielnej odbitce artykuł, p. t. „Niebezpieczeństwo — periculum“, jak łacinnicy nazywają — egzaminy.

Treść tej broszury — taka:

Szkoła powinna znać wartość wiedzy każdego ucznia.

Biada tym, co liczbę uczeni w klasie przeładowują.

Gdy wiedza w dzieciaku jest dostateczna, a popis ze zdenerwowania ucznia, czy nauczyciela się nie uda — dzieciaka się nie „zdwoja“, w klasie nie zatrzymuje, karząc w tem głównie rodziców.

Zapewne stopnie w szkole i egzaminy mają swój pożytek — lez nimi nie przesalajmy — strzeżmy się od góry do dołu formalistyki — boć to wszystko „detal“...

Gdy w pewnym gimnazjum płockim niegdyś egzaminowano chłopców maturzystów z jednego przedmiotu od rana do wpół do pierwszej w nocy — posłałem na salę: samowar, kosz z bułkami i serdelanami, nieco materaców, poduszek i kołder — z nalepioną tam klepsydrą: smutnej pamięci egzamina — tor żarliwy i nieszczęśliwy uczeń egzaminowany — po długich i ciężkich cierpieniach — zaegzaminowali się na śmierć... Proszę Społeczeństwo całe myślące o stosowne na to — zastrzyki do rozumu i serca szkół naszych polskich...



Taki formalistyczny egzamin jest periculum — dla egzaminatorów.

Mądra pedagogika wymaga nawet na maturę do wyższych uczelni przedewszystkiem ogólnego rozwinięcia umysłowego — dostatecznego w dzieciaku. Gnęb go w ciągu roku — pytaj — poznawaj — doceniaj — a możliwie nie zatrzymuj rok drugi w klasie.

Następnie egzamin jest periculum i dla ucznia, gdy uczy się tylko na stopień.

„Toć mnie dziś niewyrwie“ — „może mi się uda zciągnąć, przepisać, koledzy podpowiedzą“... Gdyś rok cały był — osłem — trudno zostać w końcu roku orłem — Ja ci to tu stwierdzam, a się na ciebie „nie wziąłem“, bo cię in individuo nieznam.

— „Ona wszystko umie — tylko się zalekła“...

— To ją — odłęgnij Mamusiu, Tatku, lub Opiekunie luby i wrzyp jej (zaraz w Brześciu pomysła... że dyscypliną) — całą piątkę z plusem...

— Ty znowu czego tak ryczysz, jak krowa za cielciem??...

— Koleżanka nic nie umiała i dostała trójkę, a ja dwóje...

— Najprzód nie obszczekuj koleżanki i Nauczyciela, bo nikt mądry ci nie uwierzy, a nie bądź „sędzią we własnej sprawie“.

Nie zakuwaj się w ostatniej chwili, bo będziesz przy egzaminie nieprzytomną...

Wreszcie nie przeceniaj wartości „dwóji“... Znałem jedną Grażynkę, co miewała dwóję na dwóji

i jeszcze raz dwóje, i to w 3-ch akademjach — a wnet dostała patent na panią majorową — szczęśliwą, kochaną, z Grażyniakiem małym — pracownią i rządzą...

„Z kamieni P. Bóg zdolen (no i takt profesorów) wykrzesać syny Abrahamowe“...

Wreszcie egzamin jest periculum dla rodziców, i opiekunów.

Ci często podrywają u dzieci powagę szkoły, przez rok cały mało dbają o naukę i zachowanie się dziecka. Pragną, by szkoła stosowała się do ich dziecka, a nie ono i oni do wymogów szkoły. Nie chcą przez głupią pychę zdać sobie racji, że to może klasa, a nawet szkoła jest za trudną — dla ich niedorozwojka.

Kto niechce głębiej poznać szkoły, a opinię o niej funduje na relacji dziecka — niech lepiej je z tej szkoły najrychlej zabierze.

Dbajcie, by dziecko cały rok dobrze pracowało, a od szkoły i jej wymagań się nie wykręcało — a wtedy egzamin nie będzie periculum i dla was i dla waszej kieszeni w razie pozostawienia w klasie na rok drugi dzieciaka waszego.

A wszyscy — od pana Ministra oświaty do ostatniego nauczyciela czy nauczycielki, do rodzica lub opiekuna, do ostatniego dzieciaka chwającego się „piątką“ — chciejmy docenić ten pewnik: „sciencja — inflat“ — „wiedza nadyma“...

**„CHARITAS — AEDIFICAT — MIŁOŚĆ BUDUJE“.**

Wiedziecie co, moje Dobre Wychowanki Szkoły jubileuszującej, że ją zbudowała tylko Miłość, ale budowała ciężko, z trudem, licząc się z każdym wciąż brakującym groszem, niemając pomocy należytej. Tak z Miłości w sercach biedulców — powstają cudowne gmachy ochron, szpitali, klasztorów...

To nie jest to budowanie z rozmachem na „wyróst“, bezmyślnym — jak elektowni płockiej, bydłobójni, lub innego tu cieletnika.. „Przecież to — Grecja płacić ma!“ — Co nas obchodzi, ile w to i z jaką korzyścią wpakuje się milionów...

„Charitas aedificat — miłość buduje“ — przede wszystkim **DUCHOWO**.

Jest to ekonomia budownictwa Chrystusowa, Tego, co nie postanowił nawet chleweczka dla ludzkich prosiątek, — ale sam wszedł na zbudowany przez nas Krzyż, by ogłosić ono Konstantynowe: „In hoc signo vinces!“ „W tym znaku — (zawsze) zwyciężysz!“...

Są u „Świętego Pawła za murami“ w Rzymie cudowne dwa posągi z marmuru, nawet w szczegółach przezemnie nie zapomniane — dłuta sławnego rzeźbiarza Giacometti'ego — posągi SS. Piotra i Pawła.

Piszę te uwagi właśnie w Ich święto..

Zakochałem się na życie całe w tych dwóch posągach.

Choć Paweł ś. cudnie mi o Miłości, tej co buduje, często pisze, iż ona „nie zajrzy, cierpliwa, łagodna jest“ — „a bez niej będę cymbałem prostym i miedzią brzęcząca“ — to ten brodacz potężny z mieczem w ręku nauczył mnie głównie jednego swego zdania: „Cesarem apello“!.. Ono mi kazało bez ogródek prawdę każdemu w oczy lunąć. Nie lękałem się Moskali, Niemców, tłumów naszych rabujących, nawet bolszewików najścia na Stanisławówkę — nie boję się Belwederu, Zamku, ministra, dyrektora — ba nawet Watykanu i pójdę wszędzie śmiało i z ufnością — z „Cesarem apello“...

Wyrabiajcie w sobie, Kochane Wychowanki naszej szkoły, to zdanie: „Cesarem apello“ — szalenie ułatwiające w życiu załatwienie spraw wszelkich — szczególnie, jeśli nie wyłącznie, dobra publicznego...

Ja względnie wiele przez to „Cesarem apello“ zrobiłem i wielu pomogłem...

Ale jako typ „**CARITATIS AEDIFICANTIS**“ — „**MIŁOŚCI BUDUJĄCEJ**“ — jest mi głównym wzorem, ten kochany stary zaprzaniec, rybak nieuczony — Piotr Święty...

**I TAKIEMU** — Mistrz oddaje, jako Opoce, rządu już XX wiekowe Jednego, Świętego, Bożego powszechnego, Kościoła Katolickiego?! Czemuż choćby nie „Orłowewu“ Janowi Dziewicy? — Bo Piotr zdał najlepiej periculum — egzamin do tych rządów

do tego nauczania skutecznego. A kościół to wielkie — wciąż rozszerzające się folwarczysko potężne — przepiękna uczelnia...

A z jakichże przedmiotów Mistrz Piotra egzaminował?...

Krótko, a zasadniczo przez ten egzamin Go — Mistrz rozkasił...

— Zapytał Go o to samo i to aż trzykrotnie: Piotrze Szymonie — kochasz ty mnie więcej, niżli ci inni Apostołowie.

Dawniej, przed trzykrotnem zaparciem i trzykrotną nauką kogucia, wołał by Piotr chwalczą dumną swą wiedzą: „Choćby wszyscy się zgorzylili i wszyscy Cię opuścili — ja się nie zgorzę — życie za Ciebie położę” — teraz tylko rzekł: „Panie! ty wszystko wiesz — ty wiesz że Cię miłuję”...

Bo to do rządów ludźmi i szczególnie do ich nauczania, a głównie do nauki maluczkich trzeba nie krzyków, nie impertynencji łamiących, lecz Miłości i jeszcze raz miłości i jeszcze raz miłości — budującej pożytecznie — szczęście swoje w szczęściu bliźnich...

Gdybym był na chwilę w Polsce wszechwładnym Marszałkiem Józefem, a nie prostym Ignacym (od ignis) nie Dołęgą tobym zaraz przeegzaminował i p. Ministra Oświaty, tyle mi łaskawego, wykwitnego pana Jędrzejewicza, następnie wszystkich urzędników Jego Ministerstwa, kuratorów i wizytatorów, każdego

Olszowskiego, Wróbla, Rościszowską, Kisielewską. Dobrobka, każdą i każdego nauczyciela i nauczycielkę, poczawszy tu w Płocku od Siniewicza, aż do Wojtulani-sowej, a przeegzaminował na zasadniczy króciutki potrójny temat tak, jak Chrystus Piotra:

Kochasz Ty — więcej dziatwę polską, niż w innych ministerstwach i — trzy razy — jak Chrystus Piotrowi — to samo pytanie bym powtórzył — a jeśli bym wyczuł w odpowiedzi wahanie, czy też inne kręctwo — to bym takiego — biedulka **OBDA-RZYŁ ZARAZ DOSTATECZNĄ EMERYTURĄ** i (pokornie przepraszam za swoją „ognistość“) „wygnał z nauczania precz“, jakto to się dziś wykwinie mowi — na zbity łeb”...

Wtedy w każdym nauczaniu — Miłość **SZALENIE SKUTECZNIE BY BUDOWAŁA**.

Przedewszystkiem tej Miłości roztropnej budującej w całym życiu życzę Wam nadal w dzień Jubileuszu i zacny kochany Zarządzie i Rado Pedagogiczna i Wam naszej szkoły Kochane jej liczne setne Wychowanki — bo ta właśnie Miłość słoneczna, wskazywana przez Przełożoną, co przez lat 24 na czele tej Uczelni naszej — prowadząc Was „światłem rozumu i ciepłikiem serca“ — sprawiła, iż **ŻADNA Z WAS — TAK LICZNYCH — I PRZEZ LAT TYLE — NIE POPEŁNIŁA WYBRYKU SZERSZEGO, JASKRAWEGO...**

Tedy i na przyszłość:  
**BOGU, OJCZYŹNIE — RADOŚĆ SIEJCIE!..**  
**DUCHAMI — ŚWIEĆCIE! A SERCAMI — GRZEJCIE!..**

(Z „Dziennika Płockiego” z d. 29 III 1924 r.)

**PRAŁAT IGNACY LASOCKI,**

założyciel główny i budowniczy Szkoły  
 Żeńskiej Udziałowej Płockiej, Państwu  
 obecnie podarowanej.



1666/pt,